

Światosław Łogin

DOM PRZY DRODZE

Dom stał przy szerokiej drodze. Jeśli przyjrzeć się uważnie, można jeszcze zauważyć głębokie niegdyś koleiny, porastające łopianem i kolcowojem. Jęczące nocami drzewa bały się wchodzić na twardą wstęgę drogi i nieuczęszczana ścieżka delikatnie wiła się po niej, nie obawiając się niczego złego. Dom zapatrzył się w nieskończoność bielkami szczelnie zamkniętych okiennic, otaczał go zaniedbany płot wysokości człowieka, ukrywając zewnętrzny świat. Ciężkie wrota były zawsze zamknięte.

Każdego ranka, otwierały się drzwi, na progu zjawiał się gospodarz z kosą na ramieniu. Brzęknąwszy ostrzem o blaszany szyld, kołyszący się nad gankiem, schodził po stopniach. Szyld przedstawiał kociół i nad nim kogucią głowę. Dom, był hotelem.

Gospodarz, gderając obchodził podwórze, wykaszał trawę, ze złością przerzucał za ogrodzenie wpełzające nocą bicze dławisza. Czasem, wyciągając szyję, zaglądał za ogrodzenie i krzyczał w kierunku milczącego lasu:

- Przychodź zabawić się!.. Jestem tu!.. - I wtedy, psy zaczynały wyc i rwać się z uwięzi.

Ten poranek zapowiadał się wyjątkowo ładny. Nocą, w gąszczu nikt nie płakał, rosa była zadziwiająco czysta i nawet zwiotczałe grzyby, na których codziennie ślizgał się pan domu, nie rozplenily się na stopniach ganku. Gospodarz wykaszał chwasty, czasami ostrożnie pociągając osełką po wyraźnie zużyty ostrzu i na twarzy błąkało się coś przypominającego zadowolony uśmiech. Nagle, rozległo się głośne dobijanie się do wrót. Gospodarz skulił się, mocnej ścisnął kosisko i miękkim, skradającym się krokiem ruszył w kierunku bramy. Z tamtej strony dębowych skrzydeł ktoś był, słychać było zmęczony oddech. Potem, stukanie powtórzyło się.

- Kto tam?.. - wypuścił powietrze gospodarz.

- Proszę otworzyć! - dobiegło stamtąd.

- Ktoś ty? Skąd przybywasz?

- Z miasta! Zabłądziłem. Całą noc idę i żeby chociaż jedna żywa dusza się napotkała!

- Teraz - warknął gospodarz, kładąc rękę na zasuwie – tylko nie wchodź gwałtownie, a to, mogę, tego...

Wrota, wydając długi, nieoliwiony skrzyp, otworzyły się. Gospodarz czekał, trzymając kosę w pogotowiu, celując ostrym czubkiem w przestrzeń za wrotami. Tam, stał człowiek.

- A no, odwróć się! – rozkazał .

- Dlaczego?.. - podróżny, zdziwiony takim obrotem sprawy, przestraszył się. - Lepiej sobie pójde...

- Nie wydziwiaj! - ryknął gospodarz. - Powiedziałem odwrócić się, a to znaczy - słuchaj. Może tam masz ogon, to go migiem skoszę.

Przybysz odwrócił się, bojaźliwie spoglądając przez ramię. Gospodarz cofnął się o krok.

- Wchodź - pozwolił.

Gość, bez sprzeciwu, wszedł na podwórze. Gospodarz napał na piszczące wrota, zatrzasnął i podparł kawałkiem kłody.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał.

- Przecież mówiłem, z miasta! – z miną męczennika wykrzyknął przybysz. – Wyszedłem na spacer i zabłądziłem. Dokąd iść - nie wiem... I las u was, jakiś dziwny.

- Jak to się stało, że nikt tam nie napadł ciebie? - zdziwił się gospodarz. – Z drugiej strony, widocznie takie twoje szczęście. A jak tam, miasto jeszcze stoi? - zapytał nagle.

- Pewnie. A, co by miało mu grozić? – zdziwił się gość.

- No, diabelstwo - zaczął gospodarz, ale w tym momencie przerwano mu.

- Hej, z pozdrowieniami! - zabrzmiał młody, dźwięczny głos. - Otwieraj, kiedy do ciebie przychodzą!

Nad płotem ukazała się postać człowieka. Wesoła twarz – pod czapą splątanych włosów, obnażony tors, porastający gęstą, kręconą sierścią, żylaste, potężne, także owłosione ręce. Gospodarz obrócił się i, nie patrząc uderzył. Nieznajomy zrobił szybki unik i ostrze kosi, z krótkim świstem, przeszło o cal od jego twarzy. Ten, zaśmiał się złowrogo i zniknął. Dał się słyszeć tętent oddalających się końskich kopyt.

- Dlaczego tak z nim postąpiłeś? – spytał bojaźliwie podróżny. - Przecież to żywy człowiek...

- Myślałby kto, człowiek! – zachnął się gospodarz. - Diabelstwo, w połowie chłop, w połowie koń. Zrozumiałeś?

Przybysz podciągnął się, wyrzwał za płot i wzdrygnął się.

- Sam widzisz - powiedział gospodarz. Otworzył drzwi do domu i zwracając się do oszołomionego gościa, zaproponował: - Wejdz, odpocznij sobie, na stole znajdziesz coś do żarcia. A ja, mam jeszcze trochę zajęcia. Kosić trzeba i plewić. Dzień odpuścisz, a wszystko tak zarosnie, że kapusty od rzepy nie odróżnisz.

Pół dnia przybysz posłusznie przesiedział sam w domu, a kiedy słońce zaczęło dotykać wierzchołków drzew, gospodarz wrócił z obejścia. Postawił w kącie kosę, opłukał w balii czarne od ziemi ręce, usiadł i dopiero wówczas zażądał:

- Opowiadaj.

- Co mam opowiadać?

- Co z miastem, jak naród sobie radzi i co mówią: skąd przyszła napaść i kiedy się skończy?

- Miasto jak miasto, ludzie żyją, jakoś wiążą koniec z końcem. A, żeby jakieś diabelstwo obok się zagnieździło, nikt nie słyszał! Raczej, skąd ty się wzięłeś, razem ze swoim lasem i hotelem?!

- Jak to skąd? Gospodaruję przy drodze Wyczeżskiej, tysiące ludzi chodziło obok mojego domu! - gospodarz zamilkł, a potem dodał żałośnie: - Chodziło i przestało. I droga zarosła. Czyżby już nikt nie potrzebował chodzić do Wyczeża?

- Dlaczego tak myślisz? Przecież jest droga do Wyczeża - zdziwił się gość. – Tylko nie słyszałem, by na niej działały się takie okropności...

- A ty, chłopcze, nie kłamiesz przypadkiem? – gospodarz pochylił się do gościa.

- Po co mam kłamać? - zaniepokoił się ten. - Ty mi lepiej powiedz, jak mam trafić do domu, bo to już najwyższy czas?

- Jak teraz pójdziesz? - zejrą w lesie. Z rana trzeba ruszać, póki mgła. Wtedy, może i dojdiesz. O świcie są spokojniejsi, chociaż, wszystko jedno, diabelstwo. W tym lesie wszystko nieludzkie: i trawa i drzewa i zwierzyna. Tu także leżą, podkradają się. Miałem owce, strzegłem je, a potem patrzę – to nie owce. Zło z nich wyziera, nocami rozmawiają między sobą, zupełnie jak my, tylko za nic nie zrozumiesz. Zarznąłem i zakopałem w dole. A psy trzymam, bo nie dam rady bez nich? Mądre dranie, aż strach, ale cierpię. Od czasu do czasu puszczam je do lasu i mięso mi przynoszą, wielkie kawałki. A, co to za mięso - nie zastanawiam się.

Gospodarz przerwał i wstał. Z podwórza dobiegło urywane wycie spuszczonego z łańcucha psów.

- Słyszysz? - powiedział. – Kładźmy się spać, póki nie ściemniało, żebyśmy nocą nie musieli się zrywać, jeśli nagle ktoś w gości zawita.

W milczeniu rozeszli się do swoich komnat i dom ucichł, przytuliwszy się do ziemi, starając się niezbyt rzucać w oczy budzącemu się lasowi. Tylko psy, szarymi cieniami krążyły po podwórzu i od czasu do czasu smutnie wyły w gęstniejącym leśnym półmroku.

Nocą, gospodarz niespodziewanie usiadł na pościeli. Miał dreszcze. Nie wydając ani jednego dźwięku, stoczył się na podłogę, na kolanach podpełznął do wyjścia i przypadł do szczeliny pod drzwiami. Korytarz, oświetlony złudnym migotaniem pokrytej pleśnią ściany, był pusty. Potem, na jego końcu zakołysał się cień, którym okazał się poranny gość. Biegł po korytarzu na czworakach, bezgłośnie przestawiając łapy. Jego twarz strasznie się zmieniła, uszy przylgnęły do czaszki, szczeka wysunęła się do przodu. Wargi drżały nerwowo, ukazując masywne, żółte kły.

Gospodarz wyszczerzył się i błyskawicznym ruchem wypadł naprzeciw przybyszowi. Na chwilę zastygli, świdrując się nienawidzącymi punktami czerwonych oczu, sierść na dolnych częściach grzyw podniosła się, zęby wyszczerzyły się i, wydawszy wycie przepełnione złością i rozczarowaniem, rzucili się na siebie. Tarzali się po podłodze, starając się dostać kłami do gardła przeciwnika, gniewny ryk niósł się daleko nad bezsennym lasem, a dom kołysał się, podskakiwał i dźwięcznie śmiał się, klaszcząc dłońmi okiennic.

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz